GŁOS
TYGODNIK SPOŁECZNO NARODOWY

Rok V — Nr. 11 | Poznań, dnia 20 października 1935 | Cena 20 gr

MIECZYSŁAW SUCHOCKI, POZNAŃ.

WIELKI MIT NARODOWY

Fryderyk Nietzsche w jednem ze swoich dzieł stara się przewidzieć przyszłość świata cywilizowanego. Odpowiedni rozdział jego wywodów w tłumaczeniu polskiem tak mniej-więcej brzmi:

„Nadchodzą czasy, kiedy rozgorzeje walka o panowanie nad światem, — prowadzoną ona będzie w imię dogmatów filozoficznych. Już teraz tworzą się pierwsze zawiązki sił, — odbywa się zaprawa w wielkiej zasadzie rasowego pokrewieństwa. „Narody“ są pojęciami o wiele delikatniejszemi aniżeli rasy, stanowiące w gruncie rzeczy odkrycie nauki, dziś p r z y s w a j a n e u c z u c i u; wojny są wielkimi mistrzami takich pojęć i nimi pozostaną. Po tem przyjdą w o j n y s p o ł e c z n e — i znowu będzie się w czyn wprowadzało pojęcia. Aż w końcu pojęcia nie będą już więcej tylko zasłonami, nazwami itd., maskującemi ruchy ludowe, ale n a j p o t ę ż n i e j s z e p o j ę c i e musi się o-stać“.

Okazuje się, że wizja ta, którą wielki filozof roztaczał przed swymi czytelnikami przed laty, ma dziś wszelkie cechy spełnianego proroctwa. Czy dziś, po wielkiej wojnie społecznej, jaką była rewolucja bolszewicka i po szeregu prob podobnych, już dokonanych czy zapowiedzianych i przygotowywanych, dalej po powstaniu wielkich ruchów rasowych i po odżyciu budowanych na ich podstawie, ideałów imperjalistycznych i wreszcie wobec dokonującego się powszechnie zmagania chociażby tych dwóch pojęć: klasy i rasy — trzeba jeszcze szeroko udowadniać trafność powyżej cytowanych przewidywań? Dowód przeprowadziło już samo życie, a każdy dzień go uzupełnia. To budzi zaufanie do ostatecznych przewidywań filozofa.

A teraz — jaka stąd płynie nauka dla narodu, a przedewszystkiem dla ruchu narodowego? Chyba tylko jedna: wziąć intensywny udział w tem zmaganiu się pojęć w tej „napowietrznej walce“, żeby użyć słów poety, która się nad światem toczy o tajemniczy klucz, otwierający wrota do potęgi, o najpotężniejsze pojęcia. Zastanowić warto się jak się przedstawia rola narodu polskiego, a więc przedewszystkiem polskiego ruchu narodowego w owej walce.

Czynnikiem, który polskiemu ruchowi narodowemu ogromnie utrudnia pracę na tym odcinku, jest zjawisko, które przybrało rozmiary epidemji, a które powszechnie nazywa się: snobizmem oryginalności. Nikt nas nie posądzi o to, abyśmy mieli się entuzjazmować czy doradzać komukolwiek kopjowanie takich czy innych pojęć i pomysłów, trudno jednak nie robić różnicy pomiędzy rzetelnym wysiłkiem twórczym i oryginalną twórczością, a tem, coby można nazwać — chorowaniem na oryginalność. Człowiek dotknięty tą słabością zapędzić się musi czy prędzej czy później w ślepą ulicę bez wyjścia. Każda bowiem myśl, każde stwierdzenie faktu, powstałe poza nim, jest dla niego nie do przyjęcia, to bowiem naraża jego ambicję „twórczą“, to bowiem podaje w wątpliwość jego „oryginalność“. Postawa taka musi oczywiście doprowadzić do rzeczy absurdalnych, do wycofywania się ze wszystkich placówek, zdobytych wysiłkiem myśli przez kogokolwiek. To też w praktyce szeroko rozpostarty pawi ogon „oryginalności“ maskuje tylko prostą dezercję i nieporadność. Ta epidemja ma jeszcze jeden skutek: stawia pod znakiem zapytania poprostu wszystko. Skoro bowiem wobec wszelkich zdobyczy myślowych pozostaje tylko grymas sceptycyzmu lub lekceważące nadęcie się na wyżynach „oryginalności“, to ostatecznie wszystko pogrąża się w chaosie, nie pozostaje żaden punkt stały, na którymby się można oprzeć.

Pozostaje tylko naród pisany przez wielkie N. To też za tą jedyną ostoją chowa się dziś, kto może. Najsprzeczniejsze ze sobą postawy, okraszone powołaniem się na naród, zyskują miano narodowych. Ten swoisty indyferentyzm obok snobizmu oryginalności nie jest objawem mocy, ale słabości. To też pierwszym krokiem ku wzmożeniu siły moralnej musi być zdanie sobie sprawy z pewnych różnic. Wskażemy tu na jedną.

Najogólniej rzecz biorąc można, jak się zdaje, wyróżnić dwa typy nacjonalizmu. 1) Pierwszy szuka ostatecznego sprawdzianu swych tez i założeń programowych w tem, co nazywa „interesem narodu“. 2) Drugi w pewnym jednolitym poglądzie na świat, w idei. Pierwszy reprezentuje starszą odmianę nacjonalizmu. Nie potrafił on głębiej sięgnąć w masy. Możliwość różnorodnej interpretacji pojęcia „interesu narodowego“ nie wytworzyła fanatycznych wyznawców w masach, a stworzyła kompromisowość i brak hartu u przywódców. To też ustąpić on musiał, wraz ze swymi rówieśnikami partyjnymi, z pola przed zwycięskim nacjonalizmem drugiego typu. Ten ostatni dopiero w oparciu o określony pogląd na świat mógł wziąć skuteczny udział w tych zmaganiach pojęciowych, o których mówi Nietzsche.

Od czego jednakże nacjonalizm ten rozpoczynał przygotowanie do spełnienia swej roli? Od ścisłego rozeznania sensu dziejów swego narodu od najbardziej zamierzchłej przeszłości poczęwszy. Z tych dopiero docieknń rodził się w i e l k i s p o ł e c z n y, p o l i t y c z n y i k u l t u r a l n y m i t, elektryzujący masy narodu i sięgający swym wpływem i zasięgiem daleko poza niego.

Ten wielki mit dopiero może stanowić najistotniejszy sens wszelkich instytucyj ustroju i związanych z niemi dyskusyj. Jeżeli zaś pod tym kątem widzenia przypatrzymy się wszystkim tworzącym się dziś dyskusjom ustrojowym, to stwierdzić trzeba, że tego punktu orjentacyjnego brak. Zastępuje go względne zresztą pojęcie doskonałości i powoduje powszechnie stwierdzaną jałowość i nierealność.

Ten wielki mit przepoi swoją treścią wszystkie instytucje życia narodowego, których jedynym sprawdzianem wartości będzie przydatność w jego realizacji, on też dopiero umożliwi skuteczny udział w walce, która „rozgorzała o panowanie nad światem“.

KONSTANTY DOBRZYŃSKI, ŁÓDŹ.

Confiteor

MARJANOWI SEYDZIE.

My, zabłąkani z astralów przybłędy,
arcykapłani rozżarzonych słów,
śmiali derwisze liljowej legendy,
łowcy uparci przyszłych, złotych snów —

Dziś otwieramy przed wami naoścież
głąb naszej duszy rozłupanej w klin,
abyście tutaj, drzemiący na moście,
sądzili razem pełnię naszych win.

Będziemy długo krążyć wam po żyłach
pieśnią wydartą szlakom srebrnych gwiazd,
aż w was się ocknie tytanowa siła,
aż krzyk uderzy z wszystkich wsi i miast.

Aż nasza spowiedź nawskroś was przepali,
dźwignie, poderwie w huraganny lot.
Pieśni wam, pieśni potrzeba i stali, —
woli ostrzonej wichurą jak grzmot.



Dla was, zjadaczy powszedniego chleba,
ślepych minstrelów wyświechtanych klechd,
rwiemy przestrzenie z owocami nieba,
by niemi zmienić stęchłość waszych strzech.

My — w zakłamanych zaułkach polegli,
pętlą obłudy ściskani za krtań,
serca kładziemy, jak cegła po cegle
murując przyszłość, krzycząc: zbudź się, wstań!

Z pieśnią na ustach powiedziem was młodych
w bram ostrołuki z rubinowych malw,
w sny turkusowe z błękitnej pagody,
w jutro utkane z miljonów serc salw.

A choć legniemy w purpurze pokotem,
z krwi naszej wstanie zwycięski wasz marsz —
wielcy — dotkniecie nas stopą przelotem,
hej, w najwichrowszej z piorunnych swych szarż!

ALEKSANDER ROGALSKI, POZNAŃ.

WALKA Z BEZIDEOWOŚCIĄ

Głośna i gwałtowna kampanja, jaką kilkanaście lat temu wytoczył Henryk Massis, czołowy bojownik katolickiego odłamu krytyki we Francji, przeciwko Andrzejowi Gide, pierwszorzędnemu styliście prozy francuskiej, ujawniła w całej nagości istotną pierwiastkową chorobę naszego wieku — bezideowość. Jak wiadomo, Massis ukazał Gide'owi, ze przybieranie stanowiska beznamiętnego obserwatora zjawisk życia i ludzi, tłumaczone olimpijską i światowidową zarazem postawą artysty, owa ekwilibrystyka wciąż się zmieniających perspektyw, wywodząca się z humanistycznego uniwersalizmu, jest niczem innem jak rozpustą duchową, szatańska igraszką, afirmacją chaosu. Hipertrofja intelektualizmu i estetyzmu z jednej strony i atrofja wrażliwości moralnej z drugiej — oto czem się karmi bezideowość uosobiona w autorze „Fałszerzy“.

Antynomja: Massis — Gide nie zanulowała się. Ona trwa wciąż, pogłębiając się i zaostrzając. Dzisiaj jesteśmy już pewni, że nie wojna światowa jest jej pierwszą przyczyną. Wywołały ją przemiany i procesy, jakie dokonały się w kulturze naszej w ciągu ostatnich kilkudziesięciu lat. I możnaby się tu zapytać: czyja rola jest tragiczna: Massisów czy Gide'ów, by odpowiedzieć zaraz: tragiczna jest tylko Massisów. Dlaczego? Bo wymierzona jest przeciw prądowi, przeciw duchowi czasu. A duch ten mówi: człowiek współczesny, to człowiek, który żyje pełnią życia, wobec świata nie przybiera żadnej ścisłej sprecyzowanej postawy, stara się go ogarnąć i przeżyć całą powierzchnią swej istoty; wszelka idea, definicja, doktryna o znaczeniu światopoglądowem jest zła, bo oznacza zubożanie, ograniczanie, ujednostronnianie, a więc wynatura człowieka. W sukurs walny idzie mu działanie form współczesnego życia, które tak dobrze na sobie odczuwamy, i produkt tej wspaniale harmonijnej kollabo-

(Dokończenie na str. 3-ej)

KONFLIKT WŁOSKO-ABISYŃSKI

Od szeregu tygodni cały świat żyje pod wrażeniem t. zw. konfliktu włosko - abisyńskiego.

Zanim poświęcimy kilka uwag zagadnieniom, wyłaniającym się w związku z tem wydarzeniem, warto może pokrótce przypatrzeć się, jakiemu fakt ten, który poruszył wszystkie państwa, uległ załamaniu w psychice społeczeństwa polskiego, jaką wywołał w nim reakcję.

OBOJĘTNOŚĆ I EGZALTACJA.

Można powiedzieć, że społeczeństwo nasze zareagowało na konflikt włosko - abisyński w ten sam sposób, w jaki reaguje się wogóle na wypadki polityczne t. zn. dwojako: albo obojętnością, albo też egzaltacją. Jedna część powiedziała sobie: co nas to może obchodzić, co się tam dzieje w Afryce, Afryka daleko... inna część zabarwia swą obojętność egzaltacją — bliżej nieokreśloną sympatją dla zgnębionego i uciskanego Negusa. Niema w tem wszystkiem zrozumienia z jednej strony, że dziś nie dzieją się w świecie takie rzeczy, na które moglibyśmy patrzeć z obojętnością, jak znowu z drugiej strony wspomniana egzaltacja, pozbawiona jest nawet tej realnej podstawy, jaką mógłby być rzetelny podziw dla bohaterstwa Abisyńczyków. Te dwie postawy — obojętność i egzaltacja — są wogóle charakterystyczne, jak już wspomnieliśmy, dla naszego społeczeństwa, albowiem każdy musi przyznać, że trudno zabierać się do budowania czegokolwiek na takiej podstawie moralnej, a już najtrudniej do umacniania mocarstwowego stanowiska państwa. Wiemy, gdzie szukać przyczyn takiego stanu rzeczy. Ten brak jednakże pełnej świadomości w społeczeństwie istoty dokonujących się w świecie przemian, może mieć skutki wręcz fatalne w momencie rozwoju konfliktów nas bardziej bezpośrednio obchodzących, kiedy to taka czy inna część społeczeństwa rozegzaltowana i zdezorjentowana los swój i narodu zawierzyć będzie gotowa ideałom i czynnikom nam wręcz wrogim.

KONFLIKT PODSTAW IDEOWYCH.

Przechodząc do tematu, wypada odrazu zaznaczyć, że znaczenie konfliktu włosko-abisyńskiego polega na wielości płaszczyzn tarcia, jakie on w sobie kryje. A więc chociażby najważniejsza płaszczyzna — włosko-angielska.

Na konflikt włosko - angielski, który wynikł w związku ze sprawą abisyńską, nie należy patrzeć tylko, jak na konflikt dwóch bezbarwnych abstrakcyjnych wielkości, których interesy starły się na pewnym odcinku. Trzeba się bliżej przypatrzeć, kto to jest ta dzisiejsza Anglja, a kto — dzisiejsze Włochy. Co państwa te reprezentują najpierw ideowo.

Otóż Anglja — to reprezentant ideałów przeszłości, które jej dały wielkość. To reprezentant kapitalistycznego imperjalizmu. To wielki burżuj między narodami, żyjący w dużej mierze ich kosztem.

A dzisiejsze Włochy? To państwo, które kroczy w awangardzie nowoczesnych prądów ideowo - politycznych, które pierwsze weszło na drogę realizacji nowych ideałów i które dziś pragnie zbierać owoce swej odwagi i śmiałości, aby móc kroczyć dalej w raz wytkniętym kierunku.

Cała różnica pomiędzy jedną a drugą postawą uwidacznia się, kiedy trzeba obu omawianym państwom uzasadnić swe żądania. Czemże może Anglja uzasadnić swe olbrzymie wpływy we wszystkich częściach świata? Bezpieczeństwem swego handlu, swych interesów gospodarczych. Jest to narzucanie wszystkim swego pośrednictwa i chęć wyciągania jak największych zysków i korzyści przy jak najmniejszym wkładzie. Głównem, jeżeli nie wyłącznem uzasadnieniem supremacji pozostaje tu faktycznie wielki apetyt.

A jak stawiają sprawę Włosi? Dążąc do umocnienia swych wpływów na Morzu Śródziemnem powołują się:

1. na prawa, przysługujące im jako spadkobiercom starożytnego Rzymu,

2. na wielki przyrost ludności kraju, która potrzebuje terenów ekspansji dla zabezpieczenia swego bytu.

3. na wartości cywilizacyjne, jakie pragną zdobyć na nowych terenach, nie wyzyskując nikogo, a zdobywając je w najgorszych warunkach klimatycznych, w walce z przyrodą dla swego narodu, a temsamem dla ludzkości,

4. na założenia ideowe faszystowskiego imperjalizmu.

Konflikt włosko - angielski jest więc konfliktem odmiennych postaw ideowych, jest starciem się pojęć zeszłowiecznych z nowoczesnemi na płaszczyźnie międzynarodowej. Prasa angielska wyraźnie pod tym kątem widzenia mobilizuje opinję świata przeciwko Włochom.

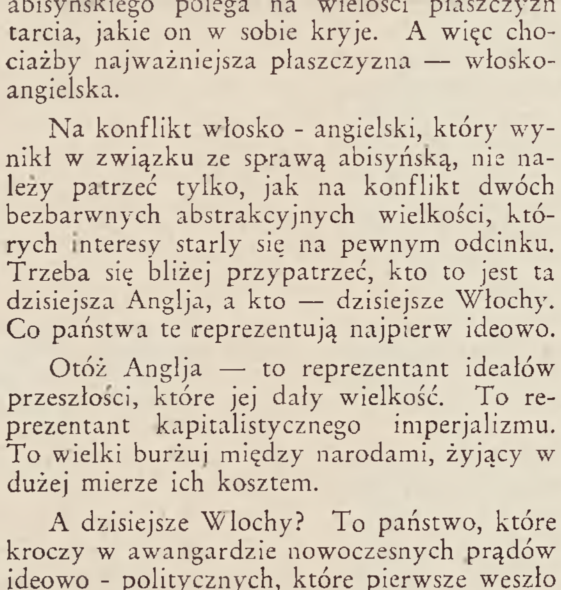
Ta płaszczyzna starcia ideowego utożsamia się, jak to w ostatnim artykule podkreślił Roman Dmowski, z frontem walki masonerji z temi czynnikami, które ją zdetronizowały i detronizują, utożsamia się z frontem walki marksizmu z faszyzmem itd. To też wyrosła z ducha masońskiego instytucja Ligi Narodów jest bezceremonjalnie wyzyskiwana przez Anglję dla obrony egoistycznych interesów brytyjskiego imperjum. To też marksistowskie niedobitki całego świata ogłaszają dziś krucjatę przeciwko Włochom.

STARCIE PRZECIWIEŃSTW RASOWYCH.

Ale Włochów od Anglji różni nietylko barwa ideowa, różni je także odrębność rasowa. Mówi się, że konflikt włosko-abisyński jest konfliktem rasy czarnej z białą, przewidując w związku z tem jak najgorsze możliwości na przyszłość. Biorąc pod uwagę aktualne możliwości rasy czarnej, jest to, jak się zdaje, kwestja dalekiej przyszłości. To też trudno wymagać, aby jakiś naród ze względu na możliwości, które są „muzyką dalekiej przyszłości", stawał wpół swej drogi. Daleko konkretniejszym więc konfliktem o charakterze przeciwieństw rasowych jest spór włosko - angielski. Z chwilą bowiem, kiedy pojęcia przeciwieństw rasowych skonkretyzowały się, jasnem jest, że polityka międzynarodowa wchodzi w nową fazę i cały szereg dawnych jej rekwizytów idzie do lamusa, czego dość wymowną ilustracją jest stanowisko Francji i opinji francuskiej w rozgrywkach ostatnich dni. Wyparcie wpływów germańskich z obrębu morza Śródziemnego przez Romę jest rzeczą pierwszorzędnej wagi nie obojętną oczywiście i dla nas.

SŁOWIAŃSZCZYZNA.

Wypadki posuwają się w świecie szybko naprzód. To, co przed niedawnym czasem wydawało się nierealnem, staje się faktem. Tworzą się nowe kompleksy siły i oporu. Konkretyzacja pojęcia Słowiańszczyzny w realny czynnik polityki międzynarodowej wydaje się czemś nieodwołalnem. Niestety dziś praca idąca w tym kierunku stoi dopiero przed nami, malo kto też widzi drogę, na jakiej cel ten miałby być osiągnięty. Polski ruch narodowy powinien spełnić tu rolę awangardy.



Symbol praojców

Myśl i wyobraźnia ludzka w dążeniu do wytłumaczenia i ujęcia istoty wszechrzeczy — różnemi chodziła drogami. Powstanie świata tłumaczyła sobie, jako wynik wewnętrznej twórczej potrzeby Boga, opanowującego chaos i dążącego do konkretyzacji i objektywizacji siebie samego. W ten sposób świat czy wszechświat urasta do symbolu samego Boga.

Jeżeli człowiek w tem przedstawieniu nie ujmuje istoty i zagadki wszechświata, to w każdym razie czyni niem najgłębszą i najszczerszą chyba spowiedź o sobie. To jego najistotniejszą potrzebą wewnętrzną jest twórczość: przezwyciężanie chaosu kłębiącego się i przewalającego się w nim i poza nim, tworzenie nowego ładu, konkretyzacja i objektywizacja samego siebie. I w tej twórczości — w momencie twórczego uniesienia i poczucia wszechmocy — człowiek zdobywa świadomość, jeżeli już nie równości z Bogiem, to w każdymbądź razie podobieństwa z Nim.



Jeden z najwspanialszych okazów ceramiki malowanej prasłowiańskiej kultury t. zw. łużyckiej ze znakiem slawiki.

Nie rezygnuje więc z tego najbardziej ludzkiego przywileju: z tworzenia, manifestacji siebie samego w dziele, nie rezygnuje z jedynej możności odsłonięcia tajemnicy swego duchowego wnętrza, ukazania jego wewnętrznej konstrukcji i rozplanowania, rozmieszczenia ideałów religijnych, moralnych i społecznych, słowem nie rezygnuje z symbolizacji siebie. Poza bowiem czynnikami przypadkowemi uwarunkowanemi chwilą, manifestuje się w dziele indywiduum tem wszystkiem, co się składa na jego odrębny styl, i co w skrócie i kondensacji układa się w jego odrębny symbol.

Ale człowiek nie działa i nie tworzy samotnie. Najwspanialsze pomniki twórczości ludzkiej wszystkich czasów są przepotężnym bezpośrednim czy pośrednim krzykiem duszy zbiorowej w jej roztęsknieniu za samowiedzą i uporczywem rozeznawaniu się w sobie. Są potwierdzeniem przez zbiorowość samej siebie; są jej manifestacją swej indywidualności, swej grupowej odrębności, swej kulturalnej i cywilizacyjnej niezawisłości, są dokumentami swoistego stylu we wszystkich instytucjach i dziedzinach życia. To też ostatecznym i istotnym sensem wszelkiej twórczości pozostanie indywidualizacja, obrona przed zagubieniem się w chaosie zjawisk.

Każda więc zbiorowość, oczywiście nie stworzona sztucznie, ale stanowiąca zjawisko i związek naturalny, a więc naród, rasa, w swym twórczym pochodzie naprzód, rada spogląda na coś, co stanowi dla niej znak orjentacyjny, co zamyka w sobie jakgdyby zwierciadło jej duszy, co podaje jakgdyby w skrócie i w skondensowaniu ją całą w jej zasadniczem podejściu do rzeczywistości, co odsłania jej ujęcie Prawdy, Dobra i Piękna. Rasa — naród walcząc, zdobywając i tworząc, jeżeli nie chce zginąć, zagubić się w chaosie, wierny pozostać musi swemu symbolowi, który mu los wypisał na drogowskazie.

Naród polski jeżeli chce, ażeby rozeznanie się jego w sobie było zupełne i głębokie, nie może zawahać się wstąpić w te kondygnacje swego jestestwa, które pogrążone są w mrokach prasłowiańszczyzny. Lekceważenie tych korzeni, z których kultura nasza wyrasta, odwracanie się od nich i zakrywanie ich świadome czy nieświadome zasłoną zapomnienia z takich czy innych względów, przynosi i przynosić będzie jaknajgorsze rezultaty. Przeciwnie zaś — przywarcie do tych pierwocin naszej kultury, jak do źródła całą siłą i ogromem pragnienia zbłąkanego na pustyni współczesności wygnańca, może być jedynym z najistotniejszych czynników naszego narodowego odrodzenia i ofensywnej postawy wobec świata.

Otóż — jeżeli zagłębimy się w mroki pradziejów naszych, to znajdziemy tam w najstarszej kulturze słowiańskiej, kulturze t. zw. łużyckiej ten symbol, który Czytelnicy nasi, może ze zdziwieniem, ujrzeli obok tytułu naszego pisma. W symbolu tym zamykał Słowianin swe pojęcia o świecie, moralne i swe upodobania estetyczne. Symbolem tym manifestowała się pierwotna dusza Słowianina. Na graficznej abrewjacji rozpinał się duch. A duch ten przez wieki nie zmienił się — pozostał ten sam. Te same pozostały w nim pojęcia ładu i doskonałości, oparte na trójdzielności i dynamiczności, ten sam zachował styl.

Jeżeli chodzi o zasięg naszego symbolu (t r y k w e t y), to trzeba tu zaznaczyć, że spotykamy go w starożytnej Grecji. W Grecji w formie rozwiniętej przyjmuje ona formę trójnogu, „trójnoża", stąd Niemcy nazywają trykwetę — D r e i b e i n. Najodpowiedniejszą nazwą dla trykwety ze względu na jej słowiańskość będzie — slawika. Zasięg więc slawiki od



Malowidło z wazy greckiej. Rycerz z trykwetą na tarczy (Dreibein).

Grecji i Morza Śródziemnego po Bałtyk wyznacza terytorjum pod nową, wielką kulturę.

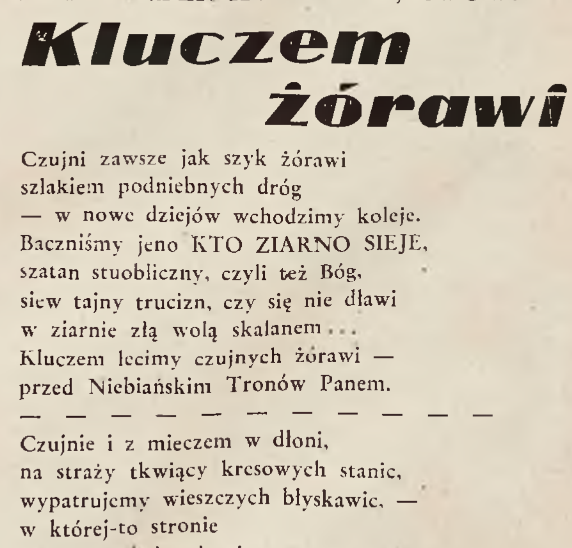
Ten bowiem zwrot ku najodleglejszej przeszłości, jak błyskawica rozświetla przyszłość, wyznacza nieodwołalną zdaje się drogę, po której toczyć się muszą wypadki. Droga ta wiedzie ku nowej wielkiej kulturze, wyrosłej pomiędzy hitlerowskim „Hackenkreuzem" a bolszewicką gwiazdą w bezwzględnej walce z niemi ku nowemu słowiańskiemu odrodzeniu, ku manifestacji w nowych formach tych elementów ładu i doskonałości, która wyraziła w naszym symbolu prymitywna dusza słowiańska, ku triumfowi nowych forma państwowych i społecznych, wyrosłych z rodzimego ducha słowiańskiego współżycia, ku wielkiemu Słowiańskiemu Imperjum.

Z CYKLU WIERSZY O WIELKIEJ POLSCE

ALEKSANDER KOŚMIŃSKI, ŁWÓW.

Kluczem żórawi

Czujni zawsze jak szyk żórawi
szlakiem podniebnych dróg
— w nowe dziejów wchodzimy koleje.
Baczniśmy jeno KTO ZIARNO SIEJE,
szatan stuobliczny, czyli też Bóg,
siew tajny trucizn, czy się nie dławi
w ziarnie złą wolą skalanem...
Kluczem lecimy czujnych żórawi —
przed Niebiańskim Tronów Panem.
— — — — — — — — — — — — —
Czujnie i z mieczem w dłoni,
na straży tkwiący kresowych stanic,
wypatrujemy wieszczych błyskawic. —
w której-to stronie
zwycięstw świat się płoni, —
kiedy obronnych trzeba spuścić zawory bramic
— — — — — — — — — — — — —
Na rogach ulic, w chat opłotach,
w bramach kamienic, w żarach hut,
w górskich wąwozach, w leśnych błotach,
na niwach pól, w borów zaciszach,
w salach fabryk, w kopalń czeluści,
aż po spieniony morski strąd,
srebrnomieczny czuwa huf! — — —
— Z celu ostrza wroga nie spuści!!!...
Liczy, — poznaje — zagłada grozi skąd? —
Miljonem czujnych ócz miecze się kołyszą
nad sercami rozpalonemi.
HASŁEM MIECZA I BÓLÓW CISZĄ
KRWAWI SIĘ BÓJ O WIELKOŚĆ ZIEMI!



(Ciąg dalszy ze strony 1-ej)

Walka z bezideowością

racji jest gotowy. Oto mamy „człowieka dwudziestego wieku“ — istotę ślimaczą, przyczepioną biernie do rwącego żywiołu życia i zarazem bezkostną amebę, wchłaniającą w siebie wszystko, co zdolna jest pomieścić. Wszyscy mniej więcej stali się tacy, jak owa Lucy Tantamount z powieści Aldousa Huxley'a („Point counter point“), która tak streszcza swoją filozofję: „Życie współczesne to życie szybkie. Nie można w obecnych czasach ciągnąć za sobą ciężkiego ładunku ideałów i romantyzmu. Kiedy się podróżuje samolotem, trzeba pozostawiać za sobą wielkie pakunki. Poczciwa starodawna dusza była odpowiednia, kiedy ludzie żyli powoli. Ale obecnie za dużo waży. Niema dla niej miejsca w samolocie.“ Ludzie stali się wygodni, umieją sobie życie urządzić, djabła im tam z ideałami. Wyślijcie teraz do nich z krucjatą Massisów! Czy zdołają im wydrzeć fetysza łatwości, nakładając wzamian na nich obowiązek zorganizowania i zdyscyplinowania swej istoty?... I dlatego rola Massisów jest tragiczna.

Nigdy może dystans między „człowiekiem zachodu“ a „człowiekiem wschodu“ nie był tak mały, jak dzisiaj. Myśmy posiedli coś z filozofji Chińczyka: żyć dniem dzisiejszym, nie oglądać się, co będzie jutro, nie wydłużać perspektywy poza chwilę obecną. Lecz w istocie jesteśmy przygnębiająco słabsi w zestawieniu z „ludźmi wschodu“. Oni nas dystansują tem, czego nam brak, cośmy zatracili, a co z ich strony znajduje zewnętrzny korelat w ich filozofji życiowej, mianowicie — wiarą we wartości wyższe ponad najwyższe wartości indywiduum ludzkiego, ponad szczęście jednostkowe, nawet ponad dobro doczesne klanu lub rodu. Punkt ciężkości tkwi u nich w zaświatach, które przenikają nawskroś życie ziemskie, istnieje między temi dwiema sferami zażyła bliskość. Cóżby się z nami stało, gdybyśmy doznawali takich nieszczęść żywiołowych, trzęsień ziemi, katastrof powodzi itp. setki tysięcy ofiar ludzkich raz poraz pochłaniających — jakie nawiedzają często i gęsto Chińczyka lub Japończyka? A oni to wszystko znoszą bez głębszych wstrząsów, obraz świata ani trochę nie zmienił u nich przez to swych kształtów, trwają, żyją, rozwijają się. Mają ideały. Ideałem jest dla nich poczucie silne wspólnoty rasowej, supremacja gromady nad jednostką (jednostka istnieje o tyle tylko, o ile jest członkiem gromady), instynkt nieprzerwanej, ciągłej, żelaznym łańcuchem wszystkich ludzi spajającej tradycji, niezłomne przeświadczenie, że wszyscy składają się na wieczyste dobro rasy. Dla nich człowiek nic nie znaczy, dla nas znaczy wszystko. W tem leży ich słabość: są mało twórczy. Ale i w tem samem leży ich moc: nie wymierają, nie giną.

Dla nas człowiek znaczy wszystko, to prawda. Lecz czyż dzisiejsza nasza kultura, opierająca się na tym fundamencie, jest twórcza? Niestety, przestała nią być od niejakiegoś czasu, bo ten „człowiek“, jego pojęcie, ideał, zatracił dawną pełnię, nie zawiera on dynamiki, potencjału twórczego. Dewaluacja człowieczeństwa, która stała się faktem dokonanym, przyniosła ze sobą naszej kulturze groźbę wyjałowienia, zastoju, zamarcia. Nikt się przecież łudzić nie może, by ta mieszanina pożądliwych instynktów, żarłocznej wyobraźni, płytkiej uczuciowości, zarozumiałego mózgu i surogatu woli, która wypełnia dzisiejsze pojęcie człowieka — zdolna była nadać kulturze twórczy impet.

Otóż staliśmy się nietwórczy, jak „ludzie wschodu“, a nie mamy ich siły trwania, siły heroizmu i dawania ofiar ze siebie, siły przezwyciężającej cierpienia i wszelką negację bytu. Żyjemy już nie własną siłą, lecz siłą inercji. Wypuściliśmy przyszłość z rąk, ona już nie zależy od nas. Tkwimy nad przepaścią.

Są jednakże ludzie, którzy potrafią wyzwalać się z oplotów swego czasu, wyjść poza doczesność, i ci dostrzegają grozę położenia. Lecz ich głosy nie znajdują echa, ich wpływy są nikłe, bo wyłamali się z solidarności epoki, bo się zdeterminowali jako „niepostępowi“, „niedzisiejsi“, jako nierozumiejący czasów i ludzi, wśród których żyć im wypadło. Żałosny jest widok tych ludzi, zmagających się napróżno z ślepym oporem współczesnych, z nieustępliwym a zgubnym duchem czasu. Oni widzą wyraźnie, że klęska nasza tkwi w bezideowości i wierzą, że tylko w przywróceniu ideałów i ukształceniu życia na ich modłę leży nadzieja ocalenia. Rozumieją, że j a k i k o l w i e k i d e a ł z n a c z y w i ę c e j, n i ż j e g o b r a k, bo wtedy człowiek coś znaczy, z n a c z y w i ę c e j o d s i e b i e s a m e g o. Zginąwszy, trwa nadal.

Oto taki Barbusse. W omłocie frazeologji, słów patetycznych i światoburczych, jakie wypełniały jego przemówienie na międzynarodowym kongresie pisarzy w Paryżu, można było wyluskać jedno szczere, prawdziwe, mocne: p o ż ą d a n i e i d e i. Mówił przecież: „Nie dość jest rozróżniać zasadnicze czynniki życia społecznego. Należy uczynić wybór pomiędzy niemi: opowiedzieć się za jednym z nich. Należy zbadać dokładnie ich strukturę, ponieważ łączą w sobie pierwiastki umysłowe z elementem moralnym. Trzeba wziąć uczciwy udział w życiu społecznem. I ponieważ mówię o roli pisarza, z której nie może absolutnie wyjść i stać się czemś innem, praca jego polega na o b r o n i e i d e i, aż do jej urzeczywistnienia. Winien wyjaśniać ją wszechstronnie, stawiać przed oczy ludziom, i, co więcej wpajać ją w ich umysły i serca...“ Znaczy to, że pisarz powinien z r e z y g n o w a ć z c z y s t o e s t e t y c z n e g o s t a n o w i s k a, a a n g a ż o w a ć s i ę z d e c y d o w a n ą s t r u k t u r ą i d e o w o - m o r a l n ą s w e j t w ó r c z o ś c i w ż y c i u s p o ł e c z e ń s t w.

Nie trzeba wcale akcentować doniosłości takiego stanowiska. Musimy zerwać z biernym estetyzmem i z wyrozumiałym intelektualizmem Gide'ow, dających sankcję naszej słabości i lenistwu, i przybrać trudną wprawdzie i uciążliwą, lecz jedynie twórczą postawę etyzującą i ideizującą Massisów.

Dawniej smok przebywał w głębokiej jamie i raz poraz wychodził na świat, by pożerać ludzi. Lecz wystarczy jeden Krakus, by go unicestwić. Dzisiaj smok stał się trudno uchwytny. W żadnej jamie nie siedzi. Nabrał zuchwałości i impetu. Zyje sobie swobodnie i najbezpieczniej na całym świecie i pożera — nas wszystkich. Smok bezideowości. Nie zmoże go żaden Krakus, nie zmoże go garstka Massisów. Pokona go tylko silnie zmobilizowana akcja, obliczona na długą, zaciętą kampanję. Walczyć — oto jedyne, co nam dzisiaj pozostało czynić.

REMIGJUSZ NEY, POZNAŃ.

Pod światło...

SZKOŁA POETÓW.

W żadnej chyba dziedzinie nie napotyka się tyle nieporozumień, co w dziedzinie twórczości literackiej. Chociaż psychologja twórczości, estetyka i poetyka ustaliły i wyjaśniły wiele zasadniczych kwestyj, które przyjęły i utrwaliły się do tego stopnia, że stały się komunałami, to jednak okazuje się, że wszystko to wcale nie przeszkadza popełnianiu grubych błędów i niedorzeczności z tego zakresu. Inaczej niepodobna skwalifikować rozpraw p. Czernika „de emendanda rei poeticae“, — jakby można nazwać wszystkie jego postulaty t. zw. autentyzmu poetyckiego, — ogłaszanych szczególnie w redagowanej przezeń „Okolicy poetów“. Ze względu właśnie na tę scholarską, poezjoreformatorską akcję czasopismo to powinno nazywać się raczej: „Szkołą poetów“, coby razem znaczyło, że ma na celu hodowlę grafomanów solidnych i fachowych. Taki grafoman z „bożej łaski“ napewno zachłyśnie się następującym wykładem mistrza („Okolica poetów“ 4/5): „Autentyzm w poezji nie jest integralnym realizmem, jest raczej zasadą klasyfikacji. Autentyzm w liryce wyklucza blagierstwo, wszelkiego rodzaju efektowne „zmyślonka“, wprowadza natomiast lirykę na głębiny introspekcji psychologicznej. Autentyzm w epice domaga się studjum, bezpośredniego zetknięcia się z materjałem, niemal przeżycia materjału, by mógł nastąpić wykład na zimno, z pełną odpowiedzialnością za każde słowo, jak w rozprawie naukowej“. Błysnąwszy w ten sposób cudowną perspektywą liryki usadowionej „na głębinach introspekcji psychologicznej“ i epiki, miłosnego lecz nie grzesznego owocu bezpośredniego obcowania poety z materjałem, mistrz zwraca uwagę, że „cechą dzisiejszej pospolitej fantastyki poetyckiej jest ogromne ubóstwo fantazji, wynikające z operowania materjałem zastępczym“, nie autentycznym. poczem domaga ścisłego odgraniczenia „mirohładów“ od rodzajów poważnych, żeby nie było wątpliwości, czy się ma do czynienia z poetą autentycznym czy też tylko ze „zmyślonkarzem“. Ponieważ, wywodzi dalej p. Czernik, „utwór poetycki nie może powstać bez działania wyobraźni“ (kapitalne stwierdzenie!), przeto stawia konieczność fantazjotwórstwa istotnego. Czemby ono było? Nie pustą grą słów, „opierałoby się na kombinacjach istotnych przeżyć poety“. „Umiejętność tworzenia takich kombinacyj może dopiero dać prawdziwie fantastyczne wiersze o treści cyginalnej, wiersze nie o papierowej wizyjności ballad lub infantylizmie pseudo - egzotyzmu, lecz o zaletach prawdziwej wizji!“ Takie fantazjotwórstwo, nie może być (broń Boże!) mieszane z pospolitem fantazjowaniem poetów, „zaludniających bez skrupułów wiersze Hotentotami i dziwożonami, „zazwierzęcających“ tygrysami i jaguarami, przerzucających się bez trudu i odpowiedzialności od fjordów Norwegji do meczetów Stambułu.“ Patrzcie, patrzcie, w jaki to sposób robią wiersze poeci, których p. Czernik traktuje całkiem poważnie, całkiem bez cudzysłowu. Łobuzy! Ale mimo, że są jednak p o e t a m i, p. Czernik urządza na ich życie spisek, stawia ich w ogonku. Bo oto, co pisze dalej: „W hierarchji utworów taka mgła i galareta musi pozostać na samym końcu, jako łatwizna nie może liczyć na życie“. Poeci, biada wam, lękajcie się reżimu pana Czernikowego! Skończyły się piękne czasy, kiedy traktowani byliście na równych prawach, nie autentyczni wśród autentycznych, fantaści wśród fantazjotwórców, mali wśród wielkich, łatwi wśród trudnych...

Wkońcu p. Czernik wysuwa taką receptę: „W dążeniu do wielkiego stylu poetyckiego, o ile epoka dzisiejsza zdolna go jest wytworzyć, poeci p o w i n n i całkowicie zerwać z magją i usunąć zamazane pogranicza...“ P o w i n n i, m u s i, n i e m o ż e, oto jakim językiem zaczyna przemawiać się do panów poetów. Ale trudno. Dyscyplina musi być. Zwłaszcza, gdy chce się osiągnąć „wielki styl poetycki“.

DEGRADACJA WIELKOŚCI.

Adam Grzymała - Siedlecki zastanawia się, z powodu nowej kampanji anti - Mickiewiczowskiej, w feljetonie kulturalnym „Kurjera Poznańskiego“ na ten temat (nr. 457) nad przyczynami epidemji „odbronzowywania“ wielkich postaci. Moda t. zw. rewizjonizmu historycznego, znajdującego literacki wyraz w bardzo popularnych „vies romancées“, nie wyjaśnia bez reszty tego zjawiska. Głębsze jego źródło widzi autor w duchu czasów powojennych, w którym „jest jakiś niespokojny giez, który roznosi brzęczenie: „świat rozpoczął się dopiero po wielkiej wojnie!“ przedtem była nicość historyczna, chaotyczne preliminarja, mgławica, niemowlęce lata dziejów ludzkości... Świat i dzieje rozpoczęły się od tych, którzy za czasów wielkiej wojny wagarowali poza szkołą. Ale, co zrobić z wielkimi ludźmi czasów przedwojennych? Te wielkie zawalidrogi jakoś przeczą tezie o mgławicowym charakterze historji z przed 1918 roku. Niema rady, tylko ich czemprędzej zdetronizować, postawić w stan oskarżenia, utytłać ich w winach i grzechach. I ta żądza niwelacyjna działa z taką siłą, że ulegają jej wrażliwości pisarskie mniej odporne, bardziej podatne na wołanie epoki... Tak powstaje odbronzowianie.“

Co do nas, sądzimy, że ten swoisty antyhistoryzm nie datuje się dopiero od czasów ostatniej wojny. Nam się wydaje, że jego korzenie tkwią dalej wstecz i wiążą się z procesem, który dokonał się niepostrzeżenie w świadomości zbiorowej. Mianowicie demokracja socjalna, która zdołała zrobić już plajtę, pociągnęła za sobą demokrację w dziedzinie ducha i ta trwa wciąż. W organizacji demokratycznej przeciętne jednostki, — stanowiące skład masy, grupy, zbiorowiska, zyskały znaczenie, wagę, wartość, siłę. W świadomości tych ludzi nastąpiło przesunięcie tego rodzaju, że sobą przesłonili wszystko i wszystkich, ze siebie uczynili miarę w wartościowaniu innych. — Rzecz jasna, że owa autoafirmacja dokonać się musiała kosztem wielkich indywidualności, które poczęto n i w e l o w a ć, udostępniać, ograniczać, odzierać z nimbu tajemnicy i niezrozumiałości. Tak nastąpiła d e g r a d a c j a w i e l k o ś c i. Dzisiaj nie rozumie się tej wielkiej prawdy, którą wypowiedział Giovanni Papini w swym „Żywym Dantem“: „Wielcy tego świata są wielkimi dlatego, że mimo brzemienia ciała i podłości własnej natury, dzieląc z nami wspólne życie, zdołali wyrazić lub stworzyć coś, co przewyższało ich i ich czas. Bohater, ku wstydowi lokajów, jest bohaterem nawet w nocnej koszuli“. Otóż psychologja „odbronzawiaczy“ i ich zwolenników jest nie inną jak psychologją lokajów, ale takich lokajów, który w dostrzeżonych, w wywęszonych, w wytropionych słabościach ludzi, przekraczających ich miarę, szukają utwierdzenia we własnej małości! To samo już tłumaczy w dużym stopniu pasję, z jaką się do tych rzeczy biorą...

PACYFISTYCZNY PŁACZEK.

Żaden rozsądny humanitarysta nie będzie zachwalał przygotowań do nowej rzezi ludzkości. Nie znaczy to przecież, by się tem samem przy lada sposobności rozpływał w ckliwych skargach na zakusy militaryzmu, w jękliwych wzdychaniach za prawdziwym pokojem, jak to czyni np. Józef Wittlin. Ta sama żałość, ten sam mdławy a tani pacyfizm, te same wykrzyki oburzenia i... trwogi, które rozbrzmiewały z jego 15 lat temu wydanych „Hymnów“, przepełniają również jego artykuł o „Śmierci Barbusse'a“ w Wiadomościach Literackich (nr. 40): Przytoczymy jedno miejsce: „Przekwitłe łona nacjonalizmów i imperjalizmów zdołali oni (tj. dawni kombatanci marzący o nowej wojnie — dop. nasz) na nowo zapłodnić pychą i obłędem. Opanowali „maszyny do zapominania“ nową, nieświadomą prawdy młodzież. Marsze „Ognistych krzyżów“, różnokolorowych koszul zagłuszają wszelki głos rozwagi. Ludzkość dzisiaj nie żyje, nie bytuje, lecz maszeruje. Dokąd? O to nie pytają ludzie upojeni marszem, karabin i książka — oto jedno z popularnych haseł dnia...“ Wobec tak ponurego obrazu niema innej rady, jak skłonić udręczoną głowę na „przekwitłe łona nacjonalizmów“. Może obfita porcja łez zdoła ugasić żarzącą się tam „pychę i obłęd“?

GAFFA PROFESORA.

W dobrym jak na odczyt lecz zbyt symplifikującym jak na studjum, artykule profesora Romana Dybowskiego p. t. „Literatura i moralność“, umieszczonym w lipcowym „Marchołcie“, zaskakuje nas takie zdanie: „Odziedziczywszy **po zakonie hebrajskim jego metafizyczne objawienia**, a po Imperjum Rzymskiem jego świetną organizację społeczną, chrześcijaństwo zjednoczyło świat wokoło swego abstrakcyjnego dogmatu i swej praktycznej normy...“ Jakto, pytamy z niedowierzaniem, czyżby naprawdę chrześcijaństwo metafizyczne objawienia odziedziczyło po zakonie habrajskim? Po zakonie hebrajskim, który był całkowitem zaprzeczeniem wszelkiej metafizyki i przez to właśnie stanowił taką głęboką przepaść między sobą a chrześcijaństwem? Ono dopiero przyniosło tę nowość, której nie mogło zrozumieć żydostwo, bo jego ideały religijne nie sięgały poza doczesność. W tem też tkwi główna przyczyna tragedji kalwaryjskiej. Tak, chrześcijaństwo wszystko mogło odziedziczyć po zakonie hebrajskim, tylko nie jego metafizyczne objawienia, których nie miał, których nie miał w najlepszym razie w takim stopniu, by je przekazać w dziedzictwie.

EPATUJĄCY MORALIZM.

Charakterystyczne zjawisko można zaobserwować. Dotychczas wysuwano w badaniach dzieła literackiego na czoło, a w każdym razie specjalną uwagę przywiązywano — do metody ścisłe formalnej, wartość dzieła sztuki jako dzieła sztuki widziano w jego kompozycji, technice, „chwytach“, „dyrektywie artystycznej“ itp. U nas ten kierunek jest bardzo cenny i pożądany, bowiem w historji literatury usankcjonowały się metody, które wydawały rezultaty, mające niejednokrotnie więcej wspólnego np. z agronomją lub kabalistyką niż z właściwą literaturą jako autonomiczną rzeczywistością. Taka więc chemiczna zaprawa mocno się nam przydaje. Ale formaliści przynoszą ze sobą jednocześnie zarozumiałą wiarę, że posiedli bez reszty prawdę o dziele sztuki, ani są tymi magikami, którzy likwidują jego sekret. Krótko więc, bliżsi są prawdy niż reprezentanci innych kierunków, lecz mają wszystkie wady każdej jednostronności.

Otóż ostatnio — rzecz bardzo ciekawa — zaznaczył się tutaj niejaki zwrot do akcentowania elementów niecierpionych przez badaczy literackich „sensu stricto“, jak elementów ideologicznych i etycznych Kto np. do ręki weźmie wydaną w tym roku książeczkę tak zagorzałego formalisty jak Konstanty Troczyński, mianowicie „Od formalizmu do moralizmu“ spotka go niepomierne zdziwienie. Któżby się bowiem spodziewał po p. Troczyńskim, że będzie tak zadzierzyście afirmował... moralizm. Trudno w rzeczy samej znaleść drugą taką rozprawę krytyczną współczesną, w którejby tak często i w tak wielu odmianach powtarzało się słowo: moralny, jak ten szkic w broszurze p. Troczyńskiego, który mówi „o porządku moralnym sztuki“. „We wszystkich rodzajach sztuki czytamy tam m. in. — widać poszukiwanie takiej siatki pojęć m o r a l n y c h, takiego m o r a l n e g o residuum, z któremby harmonizować mogły h e r o i c z n e dyspozycje m o r a l n e artysty“. W dalszym ciągu autor podkreśla tożsamość zagadnień moralnych i formalnych w dziele sztuki, dowodząc, że „etyzacja sięga rdzenia artyzmu“.

Młodość to duża zaleta, temperament jeszcze większa, lecz największą zaletą dla uczonego to jednak — umiar i spokój.

REMIGJUSZ NEY.

NA MARGINESIE

Historyzm

Znany filozof włoski B. Croce wystąpił z odczytem poświęconym historyzmowi, upatrując źródło zła we współczesnym świecie w zatracaniu się wśród społeczeństw postawy historycznej wobec życia. Można powiedzieć, że apel ten jest w pewnym sensie spóźniony, boć przecież gwałtowny wzrost prądów narodowych jest dowodem wspaniałego odżycia postawy historycznej i rozstrzygającem wzmocnieniem tego frontu, na którym walczy historyzm.

Inna rzecz, że z punktu widzenia narodowego nie wszystkie postacie historyzmu są do przyjęcia. Filozof i uczony hołduje przeważnie postawie rozeznającej wobec przeszłości, artysta estetyzującej. Będzie to postawa raczej bierna. Stąd wstręt wielu tych ludzi do tych, którzy wobec przeszłości nie chcą zająć stanowiska dyrektora muzeum czy nałogowego kolekcjonera, gromadzącego bez wyboru wszystko, co pokrył patyną czas. Ruch narodowy (nowoczesny) daleki jest od tego swoistego historycznego indyferentyzmu, od bierności erudytów i czarujących snów artystów. Wobec przeszłości zajmujemy stanowisko aktywne. Jeżeli naród jest wspólnotą uznanych wartości, to historja podlega z punktu widzenia tych wartości bezwzględnej ocenie i surowemu osądowi. Odkryte zaś w przeszłości wartości wykrzesują z nas czyn, a nie bierną kontemplację.

O tem powinni pamiętać publicyści uchodzący za narodowych. Zbyt często bowiem spotykamy się z zachwytami nad zjawiskami przeszłości, krzesanemi sztucznie przy lada okazji. W takiej atmosferze łatwo uznać objaw warcholstwa za szczyt mądrości politycznej, a w cechach upadku widzieć najdoskonalsze wzory do naśladowania. Założywszy bowiem różowe okulary rozckliwienia łatwo galopować na oślep. Zresztą ten historyczny indyferentyzm źle tylko może świadczyć o narodzie. Znaczy to bowiem, że nie dostaje mu tych uznanych wartości, stanowiących o jego wspólnocie, znaczy to, że nie jest on jeszcze świadom siebie. Zwolennik skrajnego stawiania sprawy powiedziałby, że go jeszcze niema. Do niewesołych można dojść refleksyj, jeżeli już nie w odniesieniu do narodu, to w każdym bądź razie do poszczególnych ludzi, którzy wahają się co postawić wyżej w hierarchji wartości narodowych: Grunwald czy Wiedeń... Wysiłek młodego pokolenia winien iść w kierunku wyrazistego zorganizowania wyobraźni narodowej. A tego nie dokona się masońską metodą mówienia zawsze połowy prawdy, półsłówkami, markowaniem bliżej nieokreślonych tendencyj, wiecznem: i chciałabym, a boję się... Historyzm — niewątpliwie, ale tylko aktywny.

m.

Droga do władzy

Faktem społecznym, najtrudniej może dającym się ująć w normy prawne, jest kwestja dojścia do władzy czyli przenoszenia ośrodka rządzącego z jednej grupy politycznej na inną. Nie w tem rzecz, kto formalnie dokonywa przenoszenia. Idzie o to, czy są konstruowane warunki, dające w pewnej chwili władzę w ręce dążących do niej. To też ciekawość budzą uwagi dyrektora biura senatu, p. Piaseckiego o „Drodze do władzy w świetle nowej konstytucji".

Największym — zdaniem autora — kłopotem grupy rządzącej w Polsce jest powiązanie stworzonej przez nią organizacji prawnej państwa w życiu narodu. Podstawą tego związania ma być nowa konstytucja, która nie rozwiązuje przyszłej struktury politycznej. Droga do władzy prowadzi przez parlament, jako podstawowy czynnik ustawodawczy w nowym ustroju. Gdy dawniej jednostka o ambicji władczej musiała się prześlizgnąć przez partję parlamentarną, obecnie ma dwie drogi wybicia się — przez parlament lub torem prezydenckim. Na te drogi może wejść przez pracę w organizacjach zawodowych i gospodarczych. Jest to więc nowy okres indywidualizmu, kiedy równanie ku górze dokonywa się w pojedynkę. Konstytucja nasza — zdaniem autora — umożliwia reformę reżimu przez zasadniczą zmianę ludzi kierujących aż do prezydenta włącznie — drogą wyborów powszechnych.

Wolno więc w naszym systemie bezpartyjnym jedynie zaspakajać ambicję osobistą przez wejście do parlamentu, skąd można być przyjętym do grupy rządzącej, będącej instytucją faktyczną, poza prawną. Wolno to czynić w pojedynkę. Zaspokojenie tej ambicji widziało się w ostatnich wyborach, zwłaszcza w części, niewystawionej na widok publiczny. Jeśli by zaś istniała cała grupa, chcąca urzeczywistnić własną myśl w państwie, to trzebaby najpierw przez wybory powszechne doprowadzić do kryzysu państwowego, nie ominąwszy prezydenta. Gdzież więc podziało się nadrzędne stanowisko prezydenta? Cóż ma zrobić grupa, mająca poważną szansę rozwojową? Ciekawi byśmy też wiedzieć, jak p. Piasecki wyobraża sobie zmianę grupy rządzącej przy obecnym systemie wyborczym — i systemie moralnym? Czyż przypuszcza, że biurokracja, będąca ośrodkiem grupy rządzącej, dopuściłaby do innego oblicza politycznego sejmu i zgromadzenia elektorów, niż to jest jej życzeniem? Wydaje się nam, że zmiana grupy rządzącej byłaby u nas możliwa przy nadrzędnym prezydencie i przy innej ordynacji wyborczej. Bynajmniej konstytucja obecna — otwierała drogę do władzy całej grupie, opierającej się o masy społeczne, o tem zdaje się nie można mówić. Owszem, czyni to tylko dla jednostki, gotowej się oprzeć o biurokrację i podobne czynniki.

Na koniec jeszcze jedna uwaga. P. Piasecki czyni zarzut młodemu pokoleniu, że żywi nienawiść generacji przedwojennej. Jaką nienawiść — pytamy. Do kogo? Nienawiść do ludzi jest nam obca. Jeśli zaś p. dyrektor widzi jakieś jej przejawy, to na to prosta rada: nie wychowujcie młodych pokoleń w swem wychowaniu. K. S.

Deflacja?

Cykl artykułów b. min. skarbu p. Matuszewskiego w „Gazecie Polskiej", który odbił się szerokiem echem w prasie, zawiera nietylko zasady pozytywnego programu gospodarczego, ale — od strony negatywnej — jest potępieniem dotychczasowej polityki gospodarczej obozu „sanacyjnego".

Występuje on niedwuznacznie przeciwko szeroko przez pewne koła rozpowszechnianemu poglądowi, jakoby w Polsce prowadzona była konsekwentna polityka deflacyjna. O deflacji nie należy mówić — powiada wyraźnie p. Matuszewski — trzeba ją wreszcie zacząć przeprowadzać. I wskazuje na konieczności zwalczania marnotrawstwa pieniędzy publicznych na różne cele, nie mające nic wspólnego z zadaniami państwa, na konieczności obniżenia taryf kolejowych i cen innych usług, oddawanych przez państwo obywatelom. Propaguje również ograniczenie roli państwa na rynku kredytowym, wypowiadając się raczej za umiarkowanem podniesieniem podatków, niż opędzaniem potrzeb skarbu pożyczkami.

„Sanacja", zwłaszcza jej skrzydło umiarkowane, konserwatywne, jest zachwycona wywodami czołowego swego ekonomisty. Mniej entuzjastycznie przyjmie je grupa ambasadora Filipowicza, wyznająca hasła „nakręcania konjunktury" za pomocą wielkich robót publicznych, na które środków finansowych dostarczyłaby emisja bonów, którym przyznanoby prawa znaków płatniczych.

Cóż znaczą wystąpienia, jak p. Matuszewskiego, gdy istotna polityka gospodarcza, nie ta z programów papierowych, ale z życia, jest sztukowana z zarządzeń, zaczerpniętych z najrozmaitszych, często wręcz sobie przeciwstawnych kierunków polityczno-gospodarczych?

Bezprogramowość obozu „sanacyjnego", uleganie polityki gospodarczej najróżniejszym naciskom i wpływom, w niemałej mierze i żydowskim, dążność do uzależnienia od państwa (czytaj grupy rządzącej) wszystkich komórek życia gospodarczego — zaczyna przynosić owoce. Tam, gdzie regime „sanacyjny" trzymał się zdrowych zasad, głoszonych przez obóz narodowy, sytuacja przedstawia się jeszcze znośnie, jak w dziedzinie walutowej, choć i na tym horyzoncie zaczynają się gromadzić chmury, w całości jednak naszego życia gospodarczego zaczynają się już pojawiać groźne symptomaty załamania, które baczniejszym obserwatorom obozu „sanacyjnego" nakazują wygłaszać przestróg i ostrzeżeń, że najwyższy już czas zawrócić z błędnej drogi.

Prof. Rybarski w jednym ze swych artykułów słusznie zaznaczył, że od obozu „sanacyjnego" trudno oczekiwać prowadzenia polityki deflacyjnej, gdyż obóz ten trzyma się na powierzchni nie siłą idei, jakie reprezentuje, lecz zależnością materjalną, w jakiej utrzymuje pewne grupy ludności. System ten jest bardzo kosztowny i rujnujący społeczeństwo. Deflacja etatyzmu oznacza deflację „sanacji". A na krok samobójczy „sanacja" się nie zdobędzie, choćby w ten sposób oddała społeczeństwu istotną, bezinteresowną usługę.

Jubileusz „Myśli Narodowej"

W październiku tego roku narodowy tygodnik „Myśl Narodowa" obchodzi, jak na nasze warunki nieprzeciętny jubileusz, bo dziesięcioletniej nieustannej pracy i walki na polu kultury twórczości polskiej. Ocenić plon dziesięciolecia „Myśli Narodowej", czyli „sto zgórą tomów po 300 stron tekstu", w tej krótkiej notatce nie sposób.

Wystarczy stwierdzić, że nie było bardziej istotnego zagadnienia, zarówno „w przeszłości jak i teraźniejszości, któreby nie było omówione na łamach „Myśli Narodowej".

Dlatego pismo to słusznie uchodzi w oczach społeczeństwa polskiego za narodowego przewodnika, przewodnika i nieomylnego sędziego w dżungli rzeczywistości polskiej. „Myśl Narodowa" była również szkołą narodową dla wielu młodych generacyj, które ocaliła od zatraty narodowego credo przedewszystkiem w kulturze twórczości.

Wreszcie 10 lat „Myśli Narodowej", to najciekawszy okres dziejów Polski i świata, spisany nie przez zaklamanych „kombinatorów", lecz przez ludzi ujmujących życie i twórczość sub specie aeternitatis idei narodu.

Twardym i niezmordowanym sternikiem „Myśli" przez cały ten okres był i jest Zygmunt Wasilewski. Dlatego dziesięcioletni jubileusz „Myśli Narodowej" jest w gruncie rzeczy wielkiem świętem olbrzymiej pracy i twórczości Zygmunta Wasilewskiego. Bo „Myśl Narodowa" i Z. Wasilewski to jedno.

W interesie Polski jest, by ta nierozerwalna jadność trwała i tworzyła jaknajdłużej. I to jest także nasze najserdeczniejsze życzenie dla „Myśli Narodowej" i jej znakomitego sternika.

Nowy sezon teatralny w Poznaniu

Wydawaćby się mogło, że w drugim miesiącu można postawić horoskop, jaki będzie przebieg całego sezonu.

Trzeba jednak rezygnować z pokusy, jaką jest wróżenie.

Początek bowiem, jaki uczyniły nasze trzy teatry, jest wybitnie nieuchwytny, niewyraźny, a jeśli chodzi o Teatr Polski — zupełnie (nawet) nienormalny. Można zaledwie pozwolić sobie na parę uwag natury bardzo ogólnej.

Co stanowi o przebiegu sezonu?

— Ambicje dyrekcyj? Jeśli mierzyć je tytułami sztuk, podanych redakcjom — to z tej strony, ze strony zamierzeń, można się wiele spodziewać. Wiemy jednak, jak lekkomyślną jest taka wiara!...

Zresztą zamierzenia dyrekcyj mogą być jak najszczersze. Muszą jednak liczyć się (niestety) z publicznością i możliwościami zespołu.

Jak tam będzie z publicznością? — Hm, gdyby to wiedzieć! — Ale publiczność jest jak damski zegarek: albo zepsuta, albo nie chodzi — z innego powodu...

A jakie zespoły mamy w tym roku? Bardzo mi przykro tak to otwarcie napisać, lecz jeśli jakieś zmiany nie zajdą w ciągu sezonu, to w każdym razie cudów spodziewać się nie można. I to w żadnym z trzech teatrów.

Teatr Polski rozpoczął sezon — jak wspomniałem wyżej — nienormalnie. Znaczy to, — wbrew dawnej tego teatru tradycji, bo idzie już czwarta sztuka z gościem. Niezbyt to bezpieczna gra! Wprawdzie, dopóty wielki gość miota się po scenie, publiczność przychodzi. Jeśli jednak dzieje się to tylko ze względów, powiedzmy kurtuazyjnych, dla gości — to takie spraszanie od czasu do czasu nie wychowa stałej publiczności teatralnej. A w obecnym roku jest to tem bardziej niebezpieczne, iż daje widzowi, który z roztargnienia znajdzie się potem na spektaklu „samowystarczalnym", miejscowym, autochtonicznym, autarchicznym, (autorachitycznym?), niebezpieczną broń do ręki: mianowicie skalę porównawczą.

Można nawet i tego względu nie brać pod uwagę (z powodów najróżniejszych) np. jeśli obecność luminarza sceny pobudza do wysiłku domowników. Wydawaćby się mogło, że tak jest.

Naiwnych, którzy mieli taką wiarę, rozczarował z kretesem, doszczętnie, zgoła, od stóp do głów spektakl **„Judasz z Kariothu"** Rostworowskiego.

Był przecież gość nad goście, artysta prawdziwie wielki — Człowiek - Teatr — Ludwik Solski.

Trzeba było widzieć niegodne, wytłumaczone tylko absolutną płycizną mentalną — i kabotyństwem ustosunkowanie się do swych ról paru aktorów „z nazwiskiem", którym dostały się ogony! Co za ogromny brak ambicji i godności artystycznej, jakiż niepoważny i błazeński stosunek do sztuki, który piętnujemy z całkowitem poczuciem odpowiedzialności za każde napisane tu słowo. Nie chciało im się nawet ucharakteryzować odpowiednio (tak, że zespół apostołów w „Judaszu" wyglądał raczej jak banda obwiesiów i drapichrustów). Napisali sobie recenzję na cały swój pobyt w Poznaniu. — A mieli w swem gronie artystę, który zwykły, najzwyklejszy ogon, niemy w dodatku, ma zapisany w rzędzie swych najwspanialszych kreacyj.

Można się jednak pocieszyć tem, że o Solskim wystarczy powiedzieć: Solski. Tym zaś genjuszom, o których mowa, trzeba będzie zawsze dodać: pan...

Z dwu sztuk, w których grał Solski, lepiej wystawiono **„Intrygę i miłość"** Schillera niż „Judasza", który reżysersko wyglądał dość żałośnie. Pozatem poza Wrońskim (doskonały epizod) i Glińskim oraz Arkawin (Rachela) — reszta ról — obsadzona została nieszczęśliwie. (To się zawsze tak mówi, aby nie zrobić przykrości ... wykonawcom). Szczególnie Jan Ewangelista Zawistowskiego trącił lekko parodją; za blisko stał — „Rozkosznej dziewczyny".

„Intrygę i miłość" można z czystem sumieniem nazwać przedstawieniem udałem. Dobre momenty miał Bogusławski, bardzo ładnie wyglądał Pluciński, który tak aparycją jak i grą wdzięcznie zapisał się w pamięci widzów. We Wrońskim witamy z radością cenny talent charakterystyczny jak również i Tatarkiewiczu (oba talenty w różnym — rzecz jasna — rodzaju).

Ludwiżanka, mimo ładnych kadencyj w ostatnich scenach, miała w swej grze wiele miejsc pustych. Nie potrafiła wzruszyć swą tragedją, za bardzo czuło się tu — grę ... (Dla ścisłości zaznaczam, że piszę tę recenzję z ostatniego przedstawienia; nie wiem więc, jak było na premjerze). Łabuńska nie zdążyła się jeszcze u nas rozegrać. Była surowa, sztywna. (Jej krynalina koloru fraise, (w której wyglądała stanowczo źle) jak również i drugi kostjum dobrane były chyba — dla brunetki ...)

Za bujdę amerykańską „Wszystkie prawa zastrzeżone" odpowiedzialność ponosi przemiły gość warszawski — Maszyński, któremu można, a nawet trzeba to jak najchętniej wybaczyć. — Oto jest artysta na kryzysowe przygnębienie. Prawdziwą przyjemność daje podglądanie jego gry, — posługując się najprostszemi środkami wyrazu, daje nieporównany efekt.

Na karb tego słabego sztuczydła kładziemy trochę nieprzyjemną deklamację Ludwiżanki, która jednak była godną partnerką Maszyńskiego. Dobre epizody dała Porębska, która jednak niepotrzebnie przypominała swoją maszynistkę z przed roku czy dwóch z Teatru Nowego (z Fertnerem). Ten duży talent stać przecież na nowe opracowanie — choćby bliźniaczo podobnej roli. Reszta epizodów słabawo, Kierczyński, jak zawsze, nieszczery.

W sumie jednak — spektakl bardzo miły.

JAN MOTT.

OD REDAKCJI

Plakietę Romana Dmowskiego wykonał znakomity rzeźbiarz wielkopolski Wawrzyniec Kaim.

Winietę tytułową projektował i wykonał wybitny malarz W. Pracowit-Boratyński ze Szczepu Szukalszczyków.

OD ADMINISTRACJI

Prenumeratę prosimy przekazywać za pośrednictwem przekazów rozrachunkowych. Na każdej poczcie i w każdej agenturze pocztowej zamówić można nasze pismo.

Książka o wielkopolskich malarzach

IRENA PIOTROWSKA - GŁĘBOCKA: „Zagadnienie współczesnego malarstwa w Polsce". Poznań 1935, Jan Jachowski, Księgarni Uniwersytecka. Str. 102 plus 50 tablic.

Książka p. Piotrowskiej - Głębockiej niema charakteru odkrywczego, nie rości też sobie do tego pretensji. Nie wyznacza malarstwu polskiemu nowych zadań ani też nie odsłania zagadnień niedostrzeżonych przez innych — ma więc wiele znamion pracy popularytorskiej. Jako taka zaś ma jedną zaletę — wszystkie opinje w niej zawarte, aczkolwiek mają wielokrotnie charakter coraz bardziej problematycznych dziś komunałów, wypowiadane są z pełnem poczuciem ich słuszności. Za komunały te oczywiście autorka już żadnej nie ponosi odpowiedzialności. Pretensje w tej materji trzeba zgłaszać gdzieindziej. To liberalizm jest ich ojcem. To on wytworzył także w dziedzinie twórczości artystycznej cały arsenał pojęć, cały system, który nad nią zaciążył i ją najsilniej chyba jeszcze ze wszystkich dziedzin życia trzyma w swych szponach. To jego jest „zasługą", że współczesny artysta przybiera postać zjawiska zupełnie bezsensownego w społeczeństwie, jeżeli już nie śmiesznego. To sugestje liberalizmu wyrzuciły artystę z ram społeczeństwa swą deklamacją o niezależności, swobodzie twórczej itd., przyprawiły o zawrót głowy, usuwając mu już wszelki istotny grunt pod nogami i oparcie, a skazały zarazem na łaskę uprzystępniaczy i interpretatorów, pozbawiły satysfakcji bezpośredniego porozumienia — entuzjazmu i wielkiej roli społecznej.

P. Piotrowska-Głębocka w oparciu o powyżej wspomniany arsenał pojęć stara się zinterpretować twórczość szeregu malarzy związanych z Wielkopolską, rozumując słusznie, że jest to jedyna droga do ich zrozumienia. Temsamem jednak każda tak pojęta praca staje się conajwyżej usprawiedliwieniem twórczości artysty, a nie określaniem istotnej społecznej wartości tej twórczości.

W związku z uwagami aktorki o stylu polskim warto przypomnieć, jak w świetle sugestyj liberalistycznych przedstawia się zagadnienie narodowości w sztuce. Otóż w ich ujęciu narodowość odbija się w dziele jako pewnego rodzaju współczynnik nieświadomości czy podświadomości artysty. Czas już chyba ostatni, aby ona przeszła z nieświadomości do świadomości; może ten punkt oparcia przywróci zerwany kontakt między artystą a szerokiemi masami społeczeństwa.

P. P.-Głębocka omawia w książce swej następujących malarzy: L. Dołżyckiego, E. Elstera, A. Hanytkiewicza, J. Krzyżańskiego, Wł. Lama, T. Potworowskiego, W. Taranczewskiego, J. Wronieckiego.

Książka zawiera 50 tablic i jest bardzo starannie wydana, co już stanowi zasługę wydawcy p. J. Jachowskiego.

Epos kozacki

SZOŁOCHOW: „Cichy Don", tom V-ty.

Ukazało się przed niedawnym czasem nakładem „Roju" tłumaczenie piątego już tomu znakomitej powieści rosyjskiego pisarza Szołochowa p. t. „Cichy Don". Powieścią tą Szołochow zdobył sobie stanowisko równorzędne z najznakomitszemi epokami słowiańskimi, rewelatorami życia wsi i chłopa. Bohaterem powieści jest kozaczyzna. Po znakomitych opisach środowiska w pierwszych łamach, po równie wspaniałych opisach epizodów wojny światowej i wojny domowej, widzianych oczyma „szarego człowieka" Szołochow kreśli w łamach ostatnich zmaganie się dońskiego nacjonalizmu z komunizmem. Zmaganie to przybiera dwie fazy, bardzo pouczające. W pierwszej nacjonalizm doński wyzyskiwany jest przez białogwardzistów i przez nich podsycany, w drugiej wybucha on samorzutnie, niemożność jednak uwolnienia się od wpływów białogwardyjskich zniechęca dowódców i masy. Szołochow kreśli zagadnienia z względnym objektywizmem, rezerwując oczywiście ostateczną rację dla komunizmu. Ponad tem wszystkiem króluje jednak — opis. Opis rozszalałych instynktów, dzikości i pierwotności, opis wspaniały przyrody, człowieka, oparty na doskonałej obserwacji obyczajów i równie doskonałej znajomości duszy ludzkiej. Wszystko to razem sprawia, że powieść czyta się z niesłabnącem zainteresowaniem.

Powstanie wielkopolskie

Dr. med. K. BROSS: „Przyczynki do historji Powstania Wielkopolskiego". Str. 47.

Broszura, wydana z okazji 16-letniej rocznicy powstania wielkopolskiego, zawiera prócz przedmowy autora następujące rozdziały:

1. Powstanie wielkopolskie w podręczniku historji dla szkół powszechnych.
2. W 16-tą rocznicę powstania wielkopolskiego.
3. W 16-tą rocznicę zajęcia Nowego - Tomyśla.
4. Pierwszy bój o Zbąszyń.
5. Zakończenie.

Pozatem całość uzupełnia mapka sytuacyjna omawianego terenu operacyjnego — Nowy Tomyśl — Zbąszyń.

W rozdziale pierwszym autor koryguje zasadnicze błędy, odnoszące się do wielkopolskiego czynu zbrojnego, a zawarte w podręczniku historji dla szkół powszechnych H. Pohoskiej i Wysznackiej.

W dalszych zaś omawia przebieg zajęcia Nowego Tomyśla przez powstańców oraz pierwszy bój o Zbąszyń.

Autor, jako bezpośredni uczestnik omawianych walk, w małej stosunkowo rozprawie daje dużo materjału historycznej wagi. Usiłuje on wyjaśnić, z zupełnem zdaje się powodzeniem, pewne sprzeczności, jakie istnieją pomiędzy dotychczasowemi fragmentarycznemi opracowaniami tych wypraw.

Dążąc do ustalenia możliwie najzgodniejszego z rzeczywistością przebiegu walk dr. Bross opart swoje dociekania zarówno na materjale źródłowym polskim jak i niemieckim. Osiągnięte wyniki, zdaniem naszem, predestynują dr. Brossa na autora pełnej monografji historycznej powstania wielkopolskiego. Dziś chyba czas ostatni jest wziąć się do opracowania całości, z której narazie mamy ciągle jeszcze, aczkolwiek b. cenne, ale tylko fragmenty.

Adres Redakcji: Poznań, św. Marcin 65. Konto P. K. O. 201 410. Adres Administracji: Poznań, św. Marcin 65.

PRZEDPŁATA (wraz z przesyłką): miesięcznie 0,70 zł, kwartalnie 2,— zł, półrocznie 4,— zł, rocznie 8,— zł.

CENY OGŁOSZEŃ: cała strona — 240 zł, ½ strony — 130 zł, ⅓ strony — 90 zł, ¼ strony — 70 zł, ⅙ strony — 40 zł, 1/16 strony — 30 zł.

Przedstawiciel redakcji w Łodzi — Konstanty Dobrzyński (Piotrkowska 91), we Lwowie — Aleksander Kośmiński (św. Zofji 50), w Krakowie — Jan Bielatowicz (Uniw., Coll. Novum), w Wilnie — Stefan Łochtin.

Rękopisów nie zwraca się. Rękopisów nie zwraca się.

Wydawca: Jan Wyganowski, Poznań. Redaktor naczelny: Mieczysław Suchocki, Poznań. Red. odpowiedzialny: Władysław Maciąg, Poznań.

Czcionkami Drukarni Wydawniczej Fr. Krajna Spółka z o. o. Poznań, ulica Strzałowa 2 a.